

Stefan Treugutt

Ziemia utracona : refleksja o stosunku Kazimierza Wyki do dziedzictwa romantyzmu

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 68/1, 5-18

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

STEFAN TREUGUTT

ZIEMIA UTRACONA

REFLEKSJA O STOSUNKU KAZIMIERZA WYKI
DO DZIEDZICTWA ROMANTYZMU

Na rok przed wojną Wyka popełnił w „Pionie” „żart krytyczny”, ogłaszając recenzję „pękatej książki nie znanego nikomu debiutanta, którego nazwisko — Karol Irzykowski; tytuł tomu — *Pałuba*”¹. Czytelnicy zostali uprzedzeni, że to fikcyjna recenzja imaginacyjnego debiutu, a także dostarczono im objaśnienia, czemu ten żart służy. Temu mianowicie, że jeżeli w r. 1938 można wedle wszelkich reguł sztuki napisać współczesną recenzję książki wydanej w r. 1903, to autor takiego dzieła jest już nie prekursorem, ale „przewodnikiem na przyszłość”. Data wydania książki, przynależność autora do określonej formacji umysłowej i literackiej stały się w tym wypadku podstawą kontrastowej oceny ważności *Pałuby*. Data wydania, podobnie jak pokoleniowy czas powstania jakiegoś utworu — to miało zawsze dla Wyki znaczenie fundamentalne. Dodać należy: niesprzeczne z przeświadczeniem o trwałych wartościach i o określonych warunkach, w jakich tradycja żyje i działa wśród pokoleń następców.

Generacyjny sposób porządkowania wytworów różnorodnej działalności człowieka — nie tylko literackiej — jest czymś u Wyki trwałym, charakterystycznym tak samo dla metodyki postępowania historyka literatury, jak i dla samoświadomości krytyka zjawisk współczesnych. Więcej, to zjawisko, jak ze wszystkiego sądzić wolno, z zakresu całkiem osobistej sfery odczuć społecznych, przeświadczeń o własnym miejscu w procesie tworzenia wartości. Postawa na pierwszy rzut oka niby wewnętrznie sprzeczna: uhistoryczniająca rzeczy współczesne i sprowadzająca historię do przeżycia pokoleniowego odbiorców. Wyka na kilka już

Zamieszczone tu teksty: S. Treugutta, M. Podraży-Kwiatkowskiej i J. Kwiatkowskiego, wygłosili autorzy na sesji naukowej ku czci Kazimierza Wyki, zorganizowanej w styczniu 1976 przez Instytut Filologii Polskiej UJ, Instytut Badań Literackich PAN i Oddział Związku Literatów Polskich w Krakowie.

¹ K. Wyka, *Recenzja z „Pałuby”*. „Pion” 1938, nr 24/25. Cyt. według: *Stara szuflada*. Kraków 1967, s. 77.

lat przed wojną ma żywe i umotywowane przeświadczenie o historyczności np. Skamandra, ale równie żywo w imieniu generacji własnej deklaruje literacką i myślową aktualność Norwida. Sprzeczność mniemana takiej postawy rozwiązuje się, gdy zważymy, że był Wyka w całej swej działalności równocześnie krytykiem i historykiem; dodajmy, że najbardziej mu chyba zależało, w tym pokładał ambicję i to mu sprawiało przyjemność, gdy obie te sfery nie występowały równolegle, obok siebie, ale gdy mu się pod piórem łączyły w jedno. I tak przeważnie było. Doskonale przygotowany i erudycyjny historyk literatury nie mógł przecieć *qua* historyk raptem tracić talentu urodzonego eseisty, nie przepuszczał okazji bezpośredniego zderzenia z tekstem. I odwrotnie. Uhistorycznienie więc aktualności — aktywny, animizujący stosunek do dokumentów — oto ogólna przesłanka stosunku Kazimierza Wyki także do literatury, także do romantyzmu.

Rówieśnicy pokoleniowi Wyki, nie wedle daty urodzenia — choć i to także w jakimś tam przybliżeniu — ale wedle debiutów literackich po r. 1930, więc tacy jak Uniłowski, Rudnicki, Andrzejewski, Piętaś, Breza, Gombrowicz, Miłosz, Pruszyński, Worcell, wszyscy, którzy „dziećmi przechodzili wojnę”, „dorastali wśród szybkiego zgiełku budującej się młodej państwowości”, stanowili swym wejściem w dojrzałość i czynne role społeczne cezurę historyczną. Tak przynajmniej uważał Wyka przed wojną i po wojnie, czego trwały ślad pozostał m. in. w periodyzacyjnych ujęciach historyków literatury najnowszej (a nawet w numeracji i tytułaturze odpowiednich publikacji Instytutu Badań Literackich). O tym tak osobiście, ale i historycznie współprzeżywanym przez Wykę „dziwnym pokoleniu” napisał on w r. 1935 artykuł *Perspektywy młodości*. Zobaczył owe perspektywy z pozycji gniewnego buntu i moralnego sprzeciwu. Toteż redakcja „Verbum” potraktowała wypowiedź „wybitnego krytyka młodego pokolenia” jako głos dyskusyjny, nie godząc się „ze zbyt jednostronną, ultrapesymistyczną diagnozą”, chwalać jednak rzetelność i odważną szczerość². Pesymizm autora tyczył się społecznej pozycji wkraczającego w życie pokolenia, ale nie tylko; atakował społeczny oraz ideowy model życia owoczesnego, zadawał ostre krytyczne pytania całej współczesności. Ten bynajmniej nie polonistyczny tekst (historiozoficzny? socjopolityczny?) — dla szczegółowej sprawy stosunku Wyki do romantyzmu, dla pewnych generacyjnych uwarunkowań jego postawy wydaje mi się w wysokim stopniu znaczący.

Pokolenie Wyki wkracza więc, wedle jego ostrej diagnozy, w życie polskie jako pierwsze wychowane w wolności, ale bez zasług wywojowania wolności. (Łatwo dorozumieć konsekwencje nie tylko ideowe, ale drastycznie socjalne, wręcz „etatowe” takiej sytuacji.) Jednakże młodzi

² Notka redakcyjna do: K. Wyka, *Perspektywy młodości*. „Verbum” 1935, nr 3, s. 616. Podawane dalej cytaty z tego artykułu Wyki będziemy skrótowo oznaczać liczbą wskazującą stronicę.

mają nie tylko trudny start, młodzi przeżywają, bo muszą, kryzys generalny wartości.

Narastało w oczach naszych i narasta państwo, coraz bardziej wchodzi w konkretność i w wielką sztukę kompromisu życiowego i oportunistycznego. [...] Dokonuje się wielka likwidacja ideałów.

Przez długi czas niewoli ideowo żyliśmy, być może, nad stan. Skrępowanie rąk spowodowało przerosł serc. (Przerostu mózgow, niestety, nie spowodowało...) Niepowodzenia historyczne [...] kazały szukać tym silniejszych umocnień ideowych [...]. Musieliśmy być czymś jedynym, niezwykłym, narodem wybranym, Jeruzalem ludów, by w ogóle być. Nie sposób dyskutować, czy było to złe, czy można było przetrwać unikając hipertrofii idealizmu narodowego. [...]

I to dziedzictwo było pierwszą własnością niepodległości. Było pierwszą, kłopotliwą zdobyczą. Konfrontacja bowiem tych wspianiałych uzasadnień ideowych z rzeczywistością [...] była gwałtowna i nieoczekiwana.

[...]

[...] rozpoczęta wówczas wielka likwidacja ideałów trwa ciągle. [617—619]

Dla starszych konfrontacja ideału narodowego z realnością była kłopotliwa, dla młodych rocznika 1910 była to szydercza szkoła pragmatyzmu i oportunistycznego. Wyka zrozumiał, „ileż kryje w sobie ta charakterystyczna zmiana pojęcia o j c z y z n y n a p a ń s t w o” — i skomentował polemicznie:

Ojczyzna jest pojęciem wolnym i szerokim [...], ojczyzna jest z matek, które uznają synów marnotrawnych [...]. Państwo? Póki mowa o ziemskiej stronie, o potrzebie trzymania mas ciemnych w karchach, dobrze. Lecz gdy powiada się młodemu, że to jest wszystko, rodzi się opór. Państwo nie obejmuje i nie zastąpi nigdy wielkiej, każdemu, choćby skłóconemu z państwem obecnym, dostępnej ojczyzny duchów i idei przeszłych i przyszłych. [622]

Pokoleniu przytomnemu „likwidacji ideałów” brak śmiałości, odwagi cywilnej, prawdziwej młodości. Brak mu formuły na własną nową rolę w życiu zbiorowym, takiej jak niegdyś *Oda do młodości* lub *My młodzi* Brzozowskiego. Nie ma bowiem takiej roli, młodzi czują się zbyt bezczynni:

Czyż była [...] epoka, ażeby praca była równie niepotrzebna i nieważna? Każdy bezrobotny młody wzrósł w przekonaniu, że radością i darem Bożym jest jego zdolność do pracy, jego umiejętności twórcze. [...] czemuż ten człowiek, gdy [...] przejść pragnie do roboty, okazuje się zupełnie zbyt bezczynny. [627]

Tak, w czasach romantycznych Wielkich Ojców (by użyć wyrażenia Żeromskiego) było się czego trzymać, na złe i dobre, i tak trwało aż do czasów Brzozowskiego. Zastanawiałem się, czy Wyka, pisząc z bólem i pogardą o kryzysie wartości tradycyjnych, o kompromitacji ideałów narodowych i pustce ideowej w zacofanym, stagnacyjnym kraju:

Synom chłopskim powiada się, aby nie pchali się w inne zawody i pozostawali na roli. Pięknie. Ale cóż oni będą robić na roli w przeludnionej wsi polskiej? [627—628]

— a na innym biegunie trudności:

Idzie o rolę, jaką ma grać wobec zbiorowości samotnie myśląca jednostka, o ile wolno jej myśleć i pisać w sposób pozornie dla całości nieproduktywny. [629]

— czy Wyka, dokonując ponurego bilansu w imię pokolenia i w imię odpowiedzialności za przyszłość, miał w pamięci Konrada z *Wyzwolenia*, który tak dramatycznie chce się wyrwać z kajdan „hipertrofii idealizmu narodowego”, chce w imię przyszłości pokonać przeszłość... „Jesteśmy jak inni i tyle, można rzec”. To cytat z Wyki (619), nie z Wyspiańskiego. I owo „Jesteśmy jak inni” ma wartość znaczeniową nie postulatu, jak u Wyspiańskiego, ale ironii, bo nawet „jak inni” nie jesteśmy. Konrad z krakowskiej sceny miał wyjść w polską rzeczywistość, w życie prawdziwe. Czyżby „wybitny krytyk młodego pokolenia” z r. 1935 chciał go z powrotem zapędzić między kostiumy i rekwizyty narodowe, ponieważ życie prawdziwe w wolnym, jak inne, państwie okazało tegoż Konrada zbytętność? I co z tradycją Wielkich Ojców, która to tradycja straciła swą narkotyczną przydatność, okazała się w nowych warunkach anachronizmem, ale z kolei w tych nowych warunkach zabijający jest właśnie niedobór idei, pustka duchowa...

Młody polonista dotarł niezmiernie przenikliwie nie tylko do istotnych problemów wewnętrznego rynku pracy i rynku idei, patrzył na sprawę szerzej, dostrzegając tak samo totalitarne zagrożenie z zewnątrz (na 5 lat przed *Domkiem z kart Zegadłowicza!*), któremu nie ma się czym przeciwstawić po owej przez rzeczywistość dokonanej likwidacji i kompromitacji idei. Ponieważ tak jak mesjaniczna utopia polska prysła w zderzeniu z rzeczywistością, tak samo kryzys oczywisty liberalizmu i indywidualizmu, kryzys „prawd z humanitarystycznego nieba” ogarnął większość cywilizowanego świata. Gdzież miejsce intelektualisty? Nie może on przecież oderwać się od rzeczywistości narodowej i społecznej, nie wolno mu jednak również — pod grozą samozagłady — „stanąć z tłumem, myśleć z tłumem”, poddać się „prawdom sumarycznym”. Wyka pisze to wszystko ze „smutną rzetelnością” i doprawdy trudno znaleźć tekst równie gorący, gwałtowny i równie wazący myśli, chłodny w racjonalnej diagnostyce. Wszystko, wedle jego słów, w „drażniącym poczuciu niepewności, zawieszenia, rozminięcia się” (629—631).

I jeszcze cytat, by tym dokładniej ocenić, w jakiej perspektywie nie tylko totalitaryzmu politycznego, ale i w przeczuciu totalitaryzmu zmechanizowanej i zmasowanej cywilizacji jeden z pokolenia 1910 wymierza swój dystans od przeszłości i do przyszłości:

I cóż począć w tej sytuacji, gdzie widać jeszcze ziemię utraconą, kiedy można było w Europie nie liczyć się z wymaganiami zbiorowości, a nie widać dotąd ziemi obiecanej, gdzie wyostrzone napięcie myśli jednostkowej zgodzi się z wzburzoną falą uczuć zbiorowych. [630]

Było tak w naszych dziejach umysłowych, że „wybstrzone napięcie myśli jednostkowej” zgadzało się z „falą uczuć zbiorowych”, i Wyka, już wówczas przedniej rangi historyk literatury, dobrze wiedział, że tak było właśnie na egzaltowanych wyżynach romantycznej utopii narodowej. Ale jako krytyk współczesnego sobie kryzysu dziedzictwa romantycznego, jak też jako historyk świadom socjologicznych uwarunkowań i motywacji postaw ludzkich — prostego nawrotu do romantyzmu, który by był przecież tylko kostiumowym romantyzmem, postulować nie mógł. Czyby i miał ochotę? Zbyt był historystą, by po kilku dziesiątkach lat od nowa zaczynać pierwszy akt *Wyzwolenia*. A więc: „gdzie stanąć i czemu mówić śmiało t a k”? I oto Wyka — najbardziej to zaskakujące w jego artykule z r. 1935 — odpowiada na pytanie, „gdzie stanąć”, w tym przynajmniej punkcie określa swoje i swoich miejsce odniesienia. W historii, ale czytanej poprzez współczesność (to jedno z faworytów określeń Wyki, który powoływał się z tej okazji na autorytet Irzykowskiego). Tą w historii odnalezioną współczesnością, postulatem i nauką postawy okazał się — Cyprian Norwid.

Nikt tak postawą duchową, jak Norwid, nie wciela tej postawy, jaka narzuca się każdemu młodemu, świadomemu swego położenia. Mamy tutaj jedno więcej wydanie poczucia bezdziejowości. [632]

Norwid jest miarą postawy, którą cechuje poczucie niewspółmierności, rozminięcia się z epoką. Norwid był „wielkim widzem”. Profetycznie krytykował cywilizację współczesną, ale z dystansu, z zerwanym poczuciem odpowiedzialności, co tym większą siłę dawało negatywnym ocenom fałszu i mniemanych wielkości. Wielki widz i krytyk kultury. Ale nie tylko:

jednocześnie z dumą nieustępliwego rozbitka czcił i ku wierze podawał wartości istotne, zagłuszane gorączką chwili i prześlepiane. [633]

Norwid więc dwoisty: bezlitosny krytyk-obszernik, ale także nieugięty czciciel wartości, mocny wiarą w człowieczeństwo, świadczący, że jest jeszcze wolność. Takie było „pomoc niosące przewodnictwo” Norwida dla Wyki w roku 1935. Nie po romantykach odziedziczona tedy hipertrofia idealizmu, ale i nie idei pozbawiony pragmatyzm współczesny, lecz przez współczesne doświadczenia pojęty wzór Norwida. Norwida rozminiętego tak samo z romantyzmem jak z pokoleniem poromantycznym.

Jak długo, na ile głęboko pełnił Norwid — po pierwszej dorosłej fascynacji Kazimierza Wyki, po Brzozowskim — przewodniczą i wzorcową rolę w ideowej obronie przed światem? Pytanie zbyt intymnie monograficzne i nie ma powodu na nie tu odpowiadać. Dość, że do Norwida odwoływał się ledwie pełnoletni absolwent krakowskiej wszechnicy, gdy pisał w 1933 r. o koniecznej spójni, „równoległości między działaniem a życiem duchowym”.

Wiemy z przewyciężenia historyzmu, że żyć nie można kulturalną śmianą przeszłości. Zarazem jednak żyć nie można samą energią dokonań bez kulturalnych przedłużeń³.

Ów „przewyciężony historyzm” to tu tyle co w przywoływanym artykule *Perspektywy młodości* „hipertrofia idealizmu narodowego”. A więc: nie tradycja i wzór Norwida, późnego romantyka, wybranego spośród romantyków, ale Norwid na miejsce romantyków, zamiast i pośrednio — a może i nie pośrednio całkiem — przeciwko nim. Nie czwarty wieszcz, ale po prostu Cyprian Norwid. Bo przecież Wyka już w tych wczesnych pracach doskonale dostrzegał i genetyczno-historyczne związki Norwida z romantyzmem, i jego wobec romantyzmu odmienność (wyraźny i płodny wpływ jego nauczyciela — Kołaczkowskiego), ale już wtedy nie uważałby za stosowne rozważać, na ile był lub nie był Norwid sam w sobie i dla siebie romantykiem, bo to by mu się wydało pustosłowiem („buchmanizmem historycznoliterackim” nazwałby to w 30 lat potem). Jest pewne, że w całej rozciągłości przylegała do Norwida ta formuła Wyki, jaką zapisał swego czasu oceniając Daumiera:

Daumier należy do rzadkiej, ale najcenniejszej klasy artystów. Tych mianowicie, którzy nie dadzą się przyporządkować do żadnego prądu swej epoki, lecz są tylko sobą i rozpatrywani być muszą tylko w swej indywidualności⁴.

Tak i Norwid. Po latach, w szkolnej i szczególnym rygorom poddanej historii literatury doby romantyzmu, także opisał go Wyka w terminach odrębności. Ale gdy w tymże podręczniku dydaktycznie podsumowywał ważność romantyzmu dla tradycji narodowej, wskazał trzy wielkie style polskiej tradycji literackiej, oznaczając je „nazwiskami Kochanowskiego dla Odrodzenia, Krasickiego dla Oświecenia, Mickiewicza i Słowackiego dla epoki romantycznej”⁵, to Norwida zabrakło w tym wyliczeniu — jak przypuszczam — nie z powodu podręcznikowej zwięzłości, ale pewnie dlatego, iż Norwidowi by trzeba osobny, czwarty styl tradycji przypisać... Że tak być mogło, poświadcza pewna historycznoliteracka potyczka Wyki, stoczona w obronie innego „rozminiętego z epoką”, Aleksandra Fredry. Wyka przypominał, że zeszlowieczni krytycy, najbardziej nawet apologetycznie wobec komediopisarza nastroszeni —

nawet oni rzeczywiste stanowisko Fredry widzieli w przyzwoitej odległości za romantykami. Umieszczali go niżej⁶.

³ K. Wyka, *Cyprian Norwid jako poeta kultury*. „Kultura i Wychowanie” 1933, nr 1. Cyt. według: *Stara szuflada*, s. 22.

⁴ K. Wyka, *Honoriusz Daumier*. „Tygodnik Ilustrowany” 1934, nr 33. Cyt. jw., s. 203.

⁵ K. Wyka, *Historia literatury polskiej dla klasy X*. Cz. 1: *Romantyzm*. Wyd. 3. Warszawa 1954, s. 393.

⁶ K. Wyka, wstęp w: A. Fredro, *Pisma wszystkie*. Wyd. krytyczne. Opracował S. Pigoń. T. 1. Warszawa 1955, s. 26.

I tak Stanisław Tarnowski, rozkochany przecież w dziele Fredry, jako wysoką pochwałą formułuje taką gradację wielkości w literaturze polskiej swojego wieku: Mickiewicz i Krasiński jako pierwsi, potem mniejsi od nich, ale poeci najprawdziwsi: Słowacki i Malczewski, i potem — pełnoprawnie do nich dołączony — Fredro. Wyka komentuje po 80 latach:

Dzisiaj, tych pięć nazwisk mając do wyboru, powiemy: Mickiewicz, Słowacki, Fredro⁷.

Zwracam uwagę na wtrącenie: „tych pięć nazwisk mając do wyboru”. Przyjąwszy Tarnowskiego grę w rangi literackie, nie miał Wyka na polu figury Norwida. Ale też go na pewno umyślnie do gry nie wprowadził. Bo wtedy by już w zbyt skomplikowany sposób musiał omawiać różnicę, jaka dla niego istniała pomiędzy romantyzmem a literaturą epoki romantyzmu. Pomiędzy modelową abstrakcją prądu a twórcą indywidualnym. Nawet Juliusz Słowacki, którego — wedle pięknego określenia Wyki — „rozpostarte skrzydła wyznaczają najszerszy zasięg polskiego romantyzmu”, nie jest po prostu i bez omówień tylko romantykiem⁸. I wobec niego nie wolno zachowywać opisowej postawy historycznej tylko, czyli neutralnej i akceptującej:

nie możemy sobie pozwolić, by twórca tak żarliwy pozostał znumifikowany wśród kadzideł, które mało kogo obchodzą⁹.

To słowa z rocznicowego roku 1959 i dowodzą one, jak bardzo dla Wyki było ważne „czytanie przez współczesność” własną, dokopywanie się do wartości, uruchamianie przeszłości w żywym procesie współczesnego sobie tworzenia kultury. Gdyby zaś Słowacki pozostał tylko romantykiem, gdyby jego nazwisko oznaczało tylko zbiór dokumentów literackich z epoki bezpowrotnie minionej — to niech się nim, powiada Wyka, zajmują historycy literatury; ci bez przymieszki, dodajmy, łowieckiej pasji krytycznej wobec tekstu. A właśnie tropicielem i łowcą prawdziwej zwierzyny na wielkich polach historii literackiej Wyka był zawsze. I na tym zasadzał się jego autentyczny historyzm (któż z takim smakiem jak on obracał w rękę pamiątki przeszłości, któż się tak nimi potrafił cieszyć!), że z nieomylną metodologiczną poprawnością do badania zjawisk literackich podchodził tak od strony genetycznych uwarunkowań, jak od strony hermeneutycznej historii zjawiska, starannie sumując nawarstwiające się przez pokolenia oceny dodatnie i ujemne. Jako immanentysta zaś, bo i takim bywał w procesie badania dzieła, zachowywał nader trzeźwą świadomość własnego miejsca i własnych z kolei uwarunkowań, zawsze bywał to immanentyzm relatywny, uhistoryczniony — powtórzmy raz jeszcze: jako historyk literatury zajmował postawę kry-

⁷ *Ibidem*, s. 27.

⁸ K. Wyka, *Słowacki a współczesność. Przemówienie końcowe na Sesji Słowackiego, 25—28 XI 1959 r.* Odbitka z „Przeglądu Humanistycznego” 1960, nr 2, s. 18.

⁹ *Ibidem*.

tyka wobec tekstu, jako krytyk tekstu posługiwał się w pełnym rozmiarze warsztatem i świadomością historyka — najpełniej to widać w jego monumentalnej robocie krytycznej nad *Panem Tadeuszem*.

Romantyzm jako modelowa abstrakcja, a także romantyzm jako tradycja był dla Wyki wartością dwuznaczną — jako coś przeciwnego tej narodowej „stabilizacji historiozoficznej”, za którą Wyka się opowiadał jako żywiołowy w tej samej mierze co programowy racjonalista (że ten jego racjonalizm nic nie miał wspólnego z oschłością i trzeźwą obojętnością, o tym jego jakże liczne fascynacje najlepiej świadczą, na polu historii literackiej także). Zapisany w r. 1959 antyromantyczny passus nie był, rzecz pewna, ani przypadkowym wyskokiem polemicznym, ani czymś okazjonalnym:

Historia Polski toczyła się dla romantyków na specjalnych prawach, nieobecnych w historii innych narodów. Cienie i odbłaski tego nastawienia przetrwały w pokoleniach następnych, zaciągnęły się także na dwudziestolecie niepodległości kraju burżuazyjno-kapitalistycznego, raz jeszcze odżyły pod ciśnieniem hitlerowskiej okupacji. Cały ów proces historiozoficznej stabilizacji to nauka od przeszło dwudziestu lat pobierana przez całe społeczeństwo, że jego miniona historia na pewno się toczyła, chociaż tak bywała dziwaczna, a historia bieżąca na pewno się toczy na prawach całkowicie identycznych z resztą świata¹⁰.

To z racji Słowackiego. Którego, wedle Wyki, czytać należy tak samo poprzez aktualne doświadczenia historii, jak i poprzez dzisiejszą wiedzę antropologiczną. Toteż np. *Króla-Ducha*, jedną z wielkich fascynacji Wyki, badać by wypadało jako

zrównanie procesu dziejowego z kolejnym przeobrażeniem się określonego archetypu duchowego, jaki w intencji twórcy jest zarazem jego własną osobowością, [...] zrównanie historiozoficzno-mitologiczne¹¹.

Mniejsza o skuteczność takiego badania, takiej, powiedzmy, psychologicznej laicyzacji systemowego myślenia Słowackiego — intencja jest jasna. Tylko poprzez racjonalizację wedle reguł współczesnej nam wiedzy o człowieku możemy skrócić dystans historyczny, ocalić od romantycznej anachroniczności wielkiego poetę, mitotwórczego wizjonera historiozoficznego, wreszcie — względ społecznie ważny — naczelnego autora teatralnego w naszej tradycji. Wyka dystansował się zdecydowanie od socjologicznej wulgaryzacji romantyzmu, od interpretacji — własnych także — w których zbyt proste bywały rozstrzygnięcia o postępie i wstecznictwie, o realizmie i ucieczce od rzeczywistości, redukcja zaś poezji do ideologii, ideologii z kolei do programów politycznych deformowała ogólny obraz naszego romantyzmu. Czyli — i nade wszystko — obraz Słowackiego, gdyż, jak to Wyka na różne łady formułował:

¹⁰ *Ibidem*, s. 11.

¹¹ *Ibidem*, s. 17.

W warunkach polskich odrzucenie postawy i uczuciowości romantycznej wydaje w rezultacie odrzucenie przede wszystkim jej głównego reprezentanta — Słowackiego¹².

Dystansowanie się od zbyt prostej rozprawy z hipertrofiami romantycznego idealizmu nie oznacza w żadnym wypadku, by Wyka kiedykolwiek serio wyrzekł się prawa i obowiązku przewartościowania krytycznego, daleko idącej rewizji obiegowych i historycznoliterackich ocen polskiego romantyzmu. Dlatego starał się ratować, ile mógł, z osiągnięć powojennej antyromantycznej ofensywy. Ponieważ nie chciał i nie potrafił uznać za prawdę specyficznie romantycznych „pseudosystemów myślowych” (to jego wyrażenie, znowu z okazji Słowackiego!). A równie nie chciał być tylko historycznym opisywaczem i beznamiętnym rejestratorem minionego. I był wielkim czytelnikiem literatury, z dobrym tekstem obcował osobiście — jakże więc mógł przekreślić epokę tak gęstą od poetyckiej i ideowej świetności... Nie mógł.

Stąd stosunek Kazimierza Wyki do romantyzmu polskiego i jego tradycji nie jest czymś harmonijnym, uzgodnionym myślowo do końca. Przeciwnie, to pole dramatycznej polemiki tak samo z innymi badaczami, jak z literackimi dokumentami, jak wreszcie z sobą samym.

Znamienny szczegół. Wyka z dużym entuzjazmem przyjął prapremierę warszawską *Wacława dziejów* Garczyńskiego. Był to schyłek listopada 1973 — rocznica powstania. Wyka w wypowiedziach prywatnych oraz publicznych chwalił i reżysera, który poemat Garczyńskiego wprowadził na nasze sceny, i sam poemat. Bo mu się po tej prapremierze Garczyński wydał od nowa i inaczej dobry¹³. Jako więc rasowy historyk literatury okresu Wyka natychmiast typologicznie ustalił miejsce *Wacława* między *Dziadami* a *Kordianem*, ale przecież nie mógł całkiem „zgubić” w romantyzmie autora, który mu się do tego stopnia spodobał. Stąd refleksja, że „Norwid musiał czytać, i to uważnie, Garczyńskiego”, że trzeba to spostrzeżenie uczynić przedmiotem specjalnego studium porównawczego — nie dlatego, oczywiście (gdy znamy literackie preferencje Wyki), by Garczyńskim umocnić historycznoliteracką pozycję Norwida, lecz by ewentualną Norwidowską akceptacją sobie samemu umocnić i uzasadnić wysoką wycenę Garczyńskiego¹⁴.

Przykład Garczyńskiego, nagłego nowego widzenia Garczyńskiego, wskazuje, jak bardzo Wyka nie był historycznoliterackim doktrynerem, jak okazał się zdolny do entuzjazmu, jak niebywale bezpośredni sto-

¹² *Ibidem*, s. 10.

¹³ Duża waga, jaką przypisał scenicznemu sprawdzeniu tekstu, jest czymś dla Wyki charakterystycznym — przypominam sobie liczne z nim na ten temat dyskusje, nawet polemiki, gdyż na mój tradycjonalistyczny wobec teatru gust Wyka przeceniał interpretacyjne możliwości reżyserów i aktorów.

¹⁴ Opieram się w tym miejscu tak na zapamiętanych rozmowach z K. Wyką po prapremierze *Wacława dziejów*, jak też na łaskawie udostępnionym mi jego liście do A. Hanuszkiewicza, dotyczącym się problematyki tego utworu.

sunek miał ten badacz do przedmiotu badań — sytuacja w wypadku profesjonalistów niezbyt częsta. Że tak właśnie było, że nawet w doskonale sobie znanych utworach potrafił z dumą odkrywcy i zachwytem amatora pokazywać godne tego piękności, na to dwa tomy studiów o *Panu Tadeuszu* dostarczają dokumentacji jakże obfitej. Ale osobisty entuzjazm nie przychodził u Wyki tak znowu łatwo, bo pełna, z zachwytem dokonywana akceptacja jakiegoś tekstu możliwa była — nawet u tego miłośnika szczegółu, a raczej: właśnie u tego miłośnika szczegółu! — pod warunkiem akceptacji głębszej, przy zgodzie na pisarza, na jego prawdę. To potwierdzenie, jeśli słuszne, zbliża nas do zasadniczego pola dwuznacznej batalii Wyki z romantyzmem. Tłem i koniecznym podkładem wszystkich np. interpretacyjnych gier i odkrywczej finezyjności wobec *Pana Tadeusza* była generalna akceptacja postawy autora. Wyka eksplikuje to wprost:

ponieważ zapobiegliwie i uważnie rządzi on całym materiałem twórczym, jaki nagromadził w pamięci swojej i w poemacie. [...] ponieważ w stosunku do rzeczywistości i życia całego wykazuje pewne cechy gospodarskie — rozwagę, poczucie konkretności, miłość i szacunek dla twórców natury i człowieka¹⁵.

Dlatego Wyka nazywa autora *Pana Tadeusza* „gospodarzem poematu”, solidaryzuje się z nim, uznanie zaś wykracza tu zdecydowanie poza interpretację estetyczną, poza nawet dodatnie oceny ideowe — to już poczucie wspólnoty, podziw i akceptacja postawy moralnej. Do analitycznych wywodów wciągnięte są wszystkie potrzebne kategorie nadrzędne, jak romantyczny historyzm, romantyczna ludowość; pojęcie romantycznego toku narracyjnego jest podstawowe dla rozumienia tego, co Wyka nazywa „kształtem” poematu; Mickiewicz nie przestał być i w tym studium naczelnym twórcą polskiego romantyzmu, a jednak: jako „gospodarza poematu” czyby nam było wolno, czyby było stosowne nazwać go *tout court* romantykiem? Z perspektywy badawczej i poznawczo-moralnej Kazimierza Wyki — raczej nie.

Podobnie, acz na innej płaszczyźnie ważności tekstów, było z pisarzem, którego Wyka cenił niezmiernie, zupełnie osobiście lubił, obracał fragmentami jego tekstów na wszystkie strony — podobnie było z Fredrą. Wspólnym mianownikiem uznania, konsekwentnej i programowej obrony, wartościującej eksplikacji krytycznej i osobistej czułości na styl Fredry była, po pierwsze, osobowość intelektualna tego pisarza, jego stosunek do świata, z czym Wyka bardzo jakoś ładnie kontaktował, a po drugie i ważniejsze, polskość Fredry, ta polskość, o jakiej z innej okazji pisał, że ma ona „zaskakujące niespodzianki”, „dziwaczne nieraz sploty i przerosty”, bytuje „pod zmienianą maską”, jest, jak u Fredry, naturalnym sposobem istnienia¹⁶. O takim stopniu naturalnego, naiwnego „po-

¹⁵ K. Wyka, „*Pan Tadeusz*”, T. 1. Warszawa 1963, s. 153.

¹⁶ K. Wyka, *O potrzebie historii literatury*. Warszawa 1969, s. 315.

„polsku-po-prostu-bycia” u Wyki nie było i mowy. Zbyt był refleksyjny, zbyt był uhistoryczniony od wnętrza, zbyt był zawodowym badaczem świadomości społecznej. Pisząc o swojej postawie, historyka literatury, stwierdził bez kokieterii, a z prawdziwą troską:

Kiedy bowiem zjawisko tradycji i wyboru swego miejsca w kulturze przestać traktować od strony formalno-opisowej, sprawa staje się poważna. Wszystko, co powyżej napisano, to przecież seria uników przed zjawiskiem tak oczywistym jak powietrze: polskość i jej formy. Jaką wybrać? Jakiej zaufać?¹⁷

To drugie pytanie jest jeszcze ważniejsze od pierwszego, ważniejsze z osobistego punktu widzenia badacza: „jakiej zaufać”. W tym tkwi sprawa batalii z romantyzmem. Nie tylko, ale w ważnym miejscu jest i to: jak zaufać owej narodowej egzaltacji i hipertrofii nie poddającej się racjonalnemu egzaminowi — ale też: w jakiej mierze można odrzucić i przekreślić coś, co po prostu jest, otacza człowieka „jak powietrze”, składa się przecież na „zaskakującą niespodziankę” i „dziwaczny przerost” naszej zbiorowej świadomości. Wyka nie chciał się zgodzić na konstatację, że tak jest i koniec, bo tak jest (ulubiony cytat Wyki ze „starego weredyka”, czyli Fredry: „Jakoś to będzie! Fatalizm głupoty!”). I pytanie strategiczne, o charakterze dla Wyki, jak sądzę, arcyistotnym, pytanie, jak zachować własną postawę racjonalizującego dystansu, nie tracąc poczucia łączności z tradycją, z opiniami obiegowymi — ale i nie poddając się naciskowi. Wracamy do przewodnika wczesnej młodości, do Norwida, zacytujmy jeszcze jedną opinię o nim Wyki, drukowaną w roku 1948:

Samotny w swym wyrazie artystycznym sztukmistrz, samotny na tle poezji polskiej, przestaje nim być tutaj, gdzie spod bogatego zdobnictwa jego poezji przeziiera postawa moralna twórcy. Włącza się w stałą tradycję sztuki polskiej, dla której zawsze związki moralne z rzeczywistością były przewodnikiem¹⁸.

Należy się powstrzymać od nietaktów analogii pomiędzy oceną wielkiego, uznawanego twórcy a samooceniającą jakoś, postulatywną przymiarką badacza do własnego już, osobistego ideału postawy. Ale ocena ta jest jednak modelową propozycją rozwiązania antynomii samotności i wspólnoty (antynomii, dodajmy, jakże zakorzenionej w tradycji romantycznej), tkwi tu w każdym razie jakiś sposób na zniesienie przeciwieństwa poprzez „związek moralny z rzeczywistością”. Samotność, osobna własność sądów i poznania, tak! Ale w stałym poznawczym — a więc, jeśli serio to traktować, i moralnym — związku z rzeczywistością tradycji i współczesności. Systemowe więc, racjonalne myślenie wobec wszystkich zjawisk, także bałamutnych pseudosystemów, także wobec narodowych dziwności.

Przy próbie rozwikłania stosunku Wyki do romantyzmu, gdyby próbę

¹⁷ *Ibidem*, s. 317.

¹⁸ K. Wyka, *Cyprian Norwid. Poeta i sztukmistrz*. Kraków 1948, s. 161.

taką podjąć w pełnym rozmiarze, trzeba by nade wszystko określić pozytywny stosunek badacza do zjawisk i twórców z epoki romantyzmu, ale takich, żeby przymiotnik „romantyczny” albo nie wystarczał, albo był zgoła mylny. A więc, przykładowo: Fredro, Norwid, romantyczna nobilitacja gatunkowa powieści, w znacznej mierze *Pan Tadeusz* (co byłoby wyjaśnione do końca w trzeciej, niestety nie napisanej części monumentalnej monografii). Poprzez zjawiska albo nie romantyczne, albo nie tylko romantyczne, by ograniczać, rozszczepiać, podważać jednoznaczność romantyzmu jako stereotypu świadomości i modelu konstruowanego *ex post*. Wysoce instruktywny może być w tej mierze jeden z końcowych fragmentów znakomitego studium o romantycznych początkach polskiej powieści:

Cechą [...] główną romantycznego pojmowania wszelkiej formy literackiej jest to, że artyście wolno stale, we wszelkiej postaci interweniować w utwórze, naświetlać go ironią, liryzmem, wyrażać swój sąd przy pomocy dygresji — słowem, utwór nie istnieje nigdy dla romantyka w postaci tak obiektywnej, jak istniał dla klasyka. W ten sposób bowiem romantyk dokumentuje swoje zerwanie z przepisami, uwydatnia na każdym kroku swoją swobodę twórczą. Jak gdyby obawiał się podejrzeń o skrepowanie, stale czytelnikowi narzuca swoją wolność, nie pamiętając, że taka wolność dopiero krępuje, ponieważ jest niepowtarzalna, niemożliwa do przekazania, podczas gdy jedyną wolnością prawdziwą jest rozsądna norma. *Beniowski* jako przykład romantycznego traktowania formy najlepiej świadczy o tej pozornej swobodzie¹⁹.

Znowu więc kończy się Słowackim, gdy szuka się przykładu na najbardziej w naszej tradycji romantyczny romantyzm. Wspomnijmy, co to Słowackiemu przypisał Wyka w swej historycznoliterackiej utopii, w *Wyznaniach uduszonego*. Ta utopia to przedni żart, ale żartobliwy mianownik dotyka tam jednak wszystkich, więc też możemy nawet z pewnym poznawczym przybliżeniem zapytać, jakie miejsce wyznaczył Słowackiemu Wyka w tej historii literatury polskiej, której nie było. Dał się więc Słowacki przekonać matce, że rodzime powietrze górskie będzie dobre na jego płuca, zamieszkał pod Tatrami, przeżył tam kilka lat:

Niewiele już napisał. Garść liryków, które z perspektywy oglądane, inaugurują w naszej literaturze symbolizm w jego odmianie podhalańskiej²⁰.

Nie pisał, ale z pasją porządkował rzeczy już napisane. Pokończył wszystko, nie zostawił fragmentów i pomysłów urwanych, wykonał wielką filologiczną robotę nad własnymi tekstami. Jak widać, surowo i bez solidaryzowania się z ostatnimi twórcami Słowackiego pożartował z niego Wyka. Aż nazbyt polonistycznie i wedle edytorskiego normatywizmu. Inaczej postąpił z Mickiewiczem!

¹⁹ K. Wyka, *Romantyczna nobilitacja powieści*. „Twórczość” 1946, z. 7/8, s. 239.

²⁰ K. Wyka, *Wyznania uduszonego*. Cyt. według: *Łowy na kryteria*. Warszawa 1965, s. 128.

Mickiewicz nie złamał pióra. Nie spotkał nigdy Andrzeja Towiańskiego. W nie opublikowanej, ale zachowanej puściźnie po nim odnalazł się drugi tom *Pana Tadeusza*, balzakowski i gorzki, od tego drugiego *Pana Tadeusza* zaczął się polski realizm krytyczny, nie zaś od płodów domatorskich i zaściankowych. Owszem, napisał też Mickiewicz „sceny powstańcze”, jako dalszy ciąg *Dziadów*. Raczej „reportaż dramaturgiczny anizeli kompozycję samodzielłą”. Rzecz uderzająca autentyzmem dokumentacji, ale nic Wyka nie wspomina, żeby się z tej kontynuacji *Dziadów* coś nowego w dalszym biegu literatury wyklulo²¹. Z racji tych dwu tak bliskich w czasie, a tak na pozór odległych kierunków Mickiewiczowskiego tworzenia jak *Dziady* i *Pan Tadeusz* — przypomnijmy wyznanie, zupełnie w poetyce lirycznej szczerości utrzymane, pomieszczone przez Wykę w jego najobszerniejszej w dziejach polonistyki książce o *Panu Tadeuszu*. Wyka przytoczył sąd Kleinerera ujmujący wielorakie piękności Mickiewiczowskiego poematu formułą taką: „Równie wielki jest tum gotycki i Partenon, Mozart i Beethoven, Rafael i Michelangelo” — tej wszechogarniającej wyrozumiałości Wyka po kilku stronicach się sprzeciwia:

Co począć, jeśli nie umiem się oświadczać jednocześnie po stronie Mozarta i jednocześnie po stronie Beethovena. Przyparty zaś do muru i zmuszony do wyboru, zawsze wybiorę Mozarta²².

Dużej klasy wyznanie! Tylko niby o rozrzucie piękności w *Panu Tadeuszu*, ale preferowanie Mozarta nad Beethovena świadczy chyba niezbitcie, że bliższy był Wyce *Pan Tadeusz* od *Dziadów* — chociaż to właśnie w *Dziadach* pojawia się muzyka Mozarta...

W żartobliwie wyprostowanej z błędów historii literatury polskiej inaczej niż Mickiewicz, inaczej niż Słowacki — wypadł Norwid. Norwid zrobił karierę światową. Jako anonim, przetłumaczony na język angielski. Kunszt intelektualny tego poety podjął Baudelaire, tłumacząc go na francuski. Dopiero potem przyszedł triumf w Polsce²³.

Jakże to charakterystyczne, że Wyka, wielki miłośnik szczegółów i rodzimości, zupełnie jak romantycy łączył w sobie kult „starożytności krajowych” z tęsknotami uniwersalistycznymi, że był z Krzeszowic, z Krakowa i z Europy. Przecież wspomnianej przed chwilą refleksji o Mozarcie i Beethovenie badacz nie pomieściłby w pracy naukowej, jeśli by nie pulsowała w nim romantyczna z proveniencji energia stylistyczna, skłonność do dygresji i do ironicznych dywagacji.

A Wyka epistulograf! Któż teraz tak i tyle pisuje listów, tyle wkładając w nie własnej osoby... Znowu tropy romantycznych przodków. Bo to nie Mickiewicz, rozważny gospodarz pióra, ale Słowacki, ale przede

²¹ *Ibidem*, s. 126—128.

²² Wyka, „*Pan Tadeusz*”, t. 1, s. 9, 11.

²³ Zob. Wyka, *Wyznania uduszonego*, s. 129—130.

wszystkim Krasieński, którego Wyka podziwiał i wynosił wysoko właśnie jako niestrudzonego mistrza korespondencji. (Wobec ulubionego Fredry po wielokroć powtarzany żal, że tak mało pisał listów.) W jednej z późnych prac, niby drobnej, a z jakimże uczuciem dokonanej, gdy Wyka szedł śladami swego poety po swoim mieście — *Norwid w Krakowie* — najwyraźniej znać przeosobliwą paralełę między robotą pilnego filologa i komparatysty a romantycznym wzorem podróży krajoznawczej w poszukiwaniu rodzimych pamiątek²⁴. Ale jest w tej pięknej rozprawie przytoczona kontrowersja między Wiktorem a Ludmirem z *Pana Jowialskiego*, kontrowersja tycząca się dwu programów takiej uczonej podróży, dwu sposobów patrzenia na świat: jeden każe oglądać zamki, pierwotną naturę i wszelakie wzniosłości, chociażby w imaginacji, drugi program przewiduje precyzyjną obserwację tego, co się w rzeczy samej widzi, chociażby to była całkiem realistyczna przyziemność²⁵. Za kim był w tym sporze Wyka, o tym mówi najlepiej sama praca.

Tak. Daleko Wyka odszedł od „romantycznych” — jak je kiedyś nazywał — „uniesień i wmówień”. Romantyzm i jego tradycja, jako zwarta formuła poglądu na świat, to była dla niego zaiste „ziemia utracona”. Na zawsze. I jako strateg historii kultury wiedział on o tym doskonale. Ale — posłużmy się faworytną Wyki metaforą batalistyczną — jako taktyk wojował dalej o skrawki chociażby romantycznej wielkiej ziemi, jak dbały o dobro klienta adwokat procesował się o prawa do dziedzictwa. Spośród czterech najpoważniejszych, przez nagłą śmierć przerwanych, ostatnich najpoważniejszych zamierzeń badawczych Kazimierza Wyki (czy tylko badawczych? nie w profesjonalnych tylko terminach wypada to nazywać) aż trzy tkwiły w centralnych miejscach dziedzictwa romantycznego.

²⁴ K. Wyka, *Norwid w Krakowie. Szkic naukowopopularny*. „Pamiętnik Literacki” 1967, z. 2. Wersja książkowa: *Norwid w Krakowie*. Kraków 1967.

²⁵ Wyka, *Norwid w Krakowie* (wersja książkowa), s. 52—53.